



BIULETYN
WOJEWÓDZKIEGO DOMU KULTURY
w BIAŁYMSTOKU

W NUMERZE:

	Str.
TOWARZYSTWO KULTURY TEATRALNEJ W ROKU JUBILE-	
USZÓW —	3
Między hasłami a rzeczywistością — z wiceprezesem ZG TKT Le-	
chem Śliwonikiem rozmawia Maciej Chołodowski —	4
Przemysław Skarzyński — Głosa do Głosa —	10
Antonina Sokołowska — Do teatru przez teatr —	14
Maciej Skarga — Teatr Pokoleń —	17
Kazimierz Derkowski — Za kulisami sceny amatorskiej —	28
Zbigniew Waydyk — Fraszki —	34

KOLEGIUM REDAKCYJNE:

Marek Kotkowski, Maciej Chołodowski

RADA PROGRAMOWA

Kazimierz Derkowski, Jan Szaciłło, Przemysław Skarzyński, Krzysztof Ostaszewski, Adam Borysiewicz

Wydawca:

Wojewódzki Dom Kultury w Białymstoku

Sekretarz redakcji — Iwona Wąsowicz-Szczepaniak

Redaktor graficzny — Andrzej Dworakowski

Redaktor techniczny — Jan Szaciłło

Karykatury — Adam Sokołowski



TOWARZYSTWO KULTURY TEATRALNEJ W ROKU JUBILEUSZÓW

Nie ma chyba człowieka zainteresowanego teatrem, który nie zetknąłby się z Towarzystwem Kultury Teatralnej. Od 1907 roku stowarzyszenie, na początku pod nazwą Związku Teatrów i Chórów Włościańskich, do bieżącego jubileuszowego roku zdołało ogarnąć swoją działalnością teren całego kraju, dotrzeć wszędzie tam gdzie rodziły się ambicje społeczników i tam gdzie inicjatywy społeczne wymagały wsparcia. Przez osiemdziesiąt lat TKT starało się wykorzystywać aktywność ludzi różnych profesji i reprezentujących różnorakie światopoglądy. „Zarażeni” teatrem działacze Towarzystwa obecni byli przy narodzinach i rozwoju istotnych trendów, kierunków i tendencji amatorskiego i zawodowego ruchu teatralnego. Nie mogło ich zabraknąć w pierwszych latach powojennych przy reaktywowaniu teatru polskiego, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych przy narodzinach teatru studenckiego. Wszyscy „odmieńcy” widzący teatr inaczej znajdowali w TKT opiekuna i pomocnika w realizacji niekiedy bardzo śmiałych przedsięwzięć natury artystycznej. Znaleźli go przedstawiciele teatru alternatywnego, teatru wiejskiego, teatru jednoosobowego czy też zwolennicy recytowania i wyśpiewywania literatury na scenie.

TKT przez wszystkie lata opierało swoją działalność na pracy działaczy skupionych wokół oddziałów wojewódzkich i tych mniejszych miejskich i miejsko-gminnych. Przez białostocki oddział, obchodzący w tym roku trzydziestolecie istnienia, przewinęły się setki ludzi. Był wśród nich Piotr Sawicki — pionier teatru lalkowego na białostocczyźnie i Witold Różycki — jeden z pierwszych po wojnie dyrektorów zawodowego teatru dramatycznego w mieście, i Zofia Piętkowa — wieloletni propagator teatru na wsi i wielu tych, którzy upowszechniali teatr na mniejszą skalę, w swoich środowiskach. Dzięki tym ostatnim do Bielska Podlaskiego, Sokółki, Moniek czy Łap docierał teatr najwyższej klasy artystycznej, niekiedy prowokowali środowisko do jego stworzenia. Wszystkich jakby łączyła Cierniakowska myśl: „... teatr amatorski czy w ogóle teatr — to jest ów mój wewnętrzny mus wyżywania się jako (sit venia verbo!) artyście, jest to jakby zadośćuczynienie duszy za ucieczkę od wewnętrznego powołania”.

Korzystając gościnnie z łamów „Dyskusji” w podwójnie jubileuszowym roku i przy okazji kolejnego już IX Zjazdu TKT, który odbywać się będzie właśnie w Białymstoku chcielibyśmy zaznaczyć wagę działalności Towarzystwa, podkreślić rangę społeczną „pozaobowiązkowej służby” rzeszy członków i sympatyków TKT na białostocczyźnie i wspomnieć o ważniejszych problemach ruchu teatralnego, któremu patronuje Towarzystwo na terenie całego kraju.

Między podziękowaniami za pracę dla członków Towarzystwa, osób współpracujących, zaprzyjaźnionych instytucji szczególne podziękowania należą się władzom miasta i regionu, które przez lata towarzyszyły i przy każdej okazji podkreślały potrzebę działań TKT.

Oddział Wojewódzki — Białystok

MIEDZY HASŁAMI A RZECZYWISTOŚCIĄ

Z WICEPREZESEM ZG TKT LECHEM ŚLIWONIKIEM
ROZMAWIA MACIEJ CHOŁODOWSKI

MACIEJ CHOŁODOWSKI: Do końca nie wiem jaką rolę w ostatnich latach może pełnić TKT. Mecenasa? W zasadzie nie — ze względu na wiekość środków finansowych jakimi dysponujecie. Popularyzatora teatru? Też raczej nie, no bo wszechmocny kryzys teatru dotarł nawet do amatorskiego ruchu, cóż więc popularyzować...?

LECH ŚLIWONIK: Zaczął Pan od pytania, które na dobrą sprawę wystarczyłoby na długą rozmowę, bez potrzeby stawiania pytań dodatkowych. Proszę zatem nie dziwić się, że nie odpowiem wprost, ani od razu. Zacząć by trzeba chyba od tego, że organizacja nasza — jak wiele innych — nie jest monolitem i trudno ją scharakteryzować jednym zdaniem. Przeważnie bywa tak, że ludzie znają nieco Zarząd Główny, bądź któryś z naszych oddziałów wojewódzkich, a przecież oddziałów tych mamy trzydzieści. Większość z nich stara się określić swoje własne oblicze, o czym decydują i zainteresowania działaczy, i możliwości finansowe, organizacyjne itp. Parę przykładów warto pewnie przywołać. Oddział poznański od lat prowadzi szkolne koła przyjaciół teatru „Proscenium”. Białystok zajmuje się głównie upowszechnianiem teatrów małych form (jest niemal monopolistą wojewódzkim) oraz edukacją teatralną. Szczecin prowadzi zawodowy festiwal teatrów małych form, a także ruch pod nazwą „młodzi miłośnicy Melpomeny”, który zresztą spodobał się i w innych regionach. Lublin i Olsztyn największą aktywność kierują na ruch amatorski w środowisku wiejskim. Katowice skutecznie łączą ogromną pracę upowszechnieniową z obecnością we wszystkich ważniejszych inicjatywach amatorów. Łódź za sprawę najważniejszą uznała problem wychowania teatralnego dzieci i młodzieży, a w konsekwencji również współpracę z nauczycielami. Mógłbym w ten sposób charakteryzować kolejno nasze oddziały, ale nie idzie wszak o produkowanie etykietek. Te przykłady mają raczej świadczyć o tym, że jesteśmy — jako całe stowarzyszenie — za różnorodną działalnością teatralną. Jesteśmy też za tym, by profil tej działalności tworzyli sami nasi członkowie. Oczywiście, dobra jest różnorodność, ale coś nas powinno łączyć — sprawiać, że jesteśmy stowarzyszeniem, a nie przypadkowym zbiorem kilku tysięcy osób. W tym miejscu nieuchronnie pojawić się musi tzw. „centrala” — Zarząd Główny Towarzystwa. Jego zadaniem jest ustalenie programu całej organizacji i formułowanie — nazwijmy to — ideologii, jego działania są też, ze zrozumiałych powodów, najbardziej widoczne. Myślę, że od dość długiego już czasu przynajmniej rolę pierwszoplanową pracy na rzecz amatorskiej twórczości teatralnej. Na dobrą sprawę nie ma dziś działań o charakterze ogólnokrajowym, w których bylibyśmy nieobecni. A za największy powód do chwały uważam fakt, iż nigdy nie jest to obecność formalna, pozorna. Tak chyba oceniają nas i inni, bo stale dostajemy propozycje udziału w coraz to nowych inicjatywach i zdarzeniach. Prowadzimy od lat głównie imprezy amatorskie: Ogólnopolski Festiwal Teatrów Amatorskich, Ogólnopolski Konkurs Recytatorski, sejmiki wiejskich zespołów teatralnych. Ponadto co roku wspomagamy kilkanaście „specjalistycznych” imprez teatralnych i recytatorskich — programem, własną pracą, pozyskiwanymi przez lata specjalistami. Z czystym sumieniem mogę też powiedzieć, że jesteśmy niemal monopolistami w zakresie doskonalenia kadry instruktorskiej — przed laty przyjęliśmy zasadę i twardo jej przestrzegamy: nie robimy imprez bez seminariów, warsztatów, zajęć metodycznych. A proszę pamiętać, że cały „pion merytoryczny” Zarządu Głównego to raptem trzech pracowników. Staramy się tworzyć warunki dla istnie-

nia i rozwoju ruchu nieprofesjonalnego, a skoro ten ruch propagujemy, to również chcemy wpływać na jego kształt. Podobnie rzecz się ma z drugim nurtem naszej działalności — upowszechnianiem teatru, choć na tym terenie robimy niewątpliwie mniej. Byłoby wspaniale, gdybyśmy jeszcze mieli środki i mogli być prawdziwymi mecenasami, ale na to nas naprawdę nie stać. Staramy się zatem robić coś innego.

M.C.: W statucie TKT widnieje zapis: „Towarzystwo Kultury Teatralnej nawiązuje do postępowych tradycji społecznego ruchu teatralnego i kontynuuje działalność założonego w 1907 roku Związku Teatrów i Chórów Włociańskich oraz Związku Teatrów Ludowych i Związku Teatrów Amatorskich”. Co to oznacza w praktyce?

L.Ś.: To motto z całym przekonaniem pozostawiamy w kolejnych wydaniach a nawet modyfikacjach naszego statutu. Wspomniałem wcześniej o „spoiwie” organizacyjnym — myślę, że zawarta w tych słowach idea pełni taką właśnie funkcję. Ja w tym sformułowaniu za najważniejsze uważam dwa słowa: „tradycja” i „społeczny”. W moim rozumieniu zresztą łączą się one w sposób wręcz nierozzerwalny — zwłaszcza w dziedzinie kultury. Przepraszam za przypomnienie truizmów, ale przecież nasza kultura rozwinęła się dzięki społecznej aktywności. Ponad sto lat nie mieliśmy praktycznie żadnych instytucji kultury, a ona nie tylko przetrwała, ale i rosła, obejmowała coraz to nowe kręgi. W latach międzywojennych rejestrowano ponad jedenaście tysięcy teatrów amatorskich — w ubogim państwie, bez placówek, domów kultury, klubów itp. Czy byłoby to możliwe bez społeczników? Po II wojnie światowej uznano że wszystko co stare jest już nieważne, że oto zaczynamy po nowemu. I polikwidowano organizacje społeczne, rozgoniono ich członków. Nasze stowarzyszenie po czternastu latach trwania skazano na dziewięćcioletni niebyt. Ruch społeczny miały zastąpić instytucje. Nie muszę chyba przypominać, jakie skutki przyniosły kulturze te pomysły. Naturalnie byłbym pomyłecem, gdybym dziś twierdził, że trzeba rezygnować z owych instytucji, a oprzeć się na samych działaczach społecznych. Twierdzą jednak, że kultura tworzona bez pełnoprawnego udziału różnych form ruchu społecznego jest kulturą bezbarwną, monotonna i po prostu chorą. Dlatego ważny jest może już sam fakt osiemdziesięcioletniego istnienia organizacji, która o tych prawdach przypomina. Szczególnie ważny, gdy wspomnieć zmienność naszych dziejów, a co za tym idzie — linii polityki kulturalnej.

Mamy zatem wytyczony dość jasno kierunek ideowy. Idee mają wszakże to do siebie, że łatwiej je głosić niż realizować. Stale towarzyszy nam niepokój, ale myślę, iż poważnie udaje się nam dochować wierności przekonaniu, że to co spontaniczne, co nieinstytucjonalne winno nam być szczególnie bliskie. Taki przecież charakter ma twórczość amatorska, będąca głównym terenem naszej pracy. Ale nawet gdy wchodzimy na teren sztuki profesjonalnej, to działamy na tych obszarach, które dają szansę inicjatyw właśnie pozainstytucjonalnych. Nieprzypadkowy jest więc nasz udział w ruchu teatrów małych form, czy teatrów jednego aktora. Wreszcie sama nasza organizacja, jej struktura i sposób działania, świadczy o opowiedzeniu się za tym, co w kulturze jest wynikiem „dobrowolnych” inicjatyw, co wynika ze społecznikowskiej chęci robienia więcej niż się musi.

M.C.: Mówi Pan o działalności społecznej, a przecież TKT to ponad sto oddziałów, około dziesięciu tysięcy członków, około czterdziestu etatów, zjazdy, plenarne posiedzenia, walne zebrania itp. Czy nie bardzo to zinstytucjonalizowane, jak na towarzystwo społeczne?

L.Ś.: Niech Pan to między bajki włoży. Jakaż to instytucjonalizacja, skoro mamy raptem — na Zarząd Główny i trzydzieści oddziałów wojewódzkich — nie więcej niż trzydzieści pięć etatów. W tym względzie, ale także w sferze finansów, lokali, wyposażenia jesteśmy pariasami w

stosunku do każdego wojewódzkiego i wielu niższego szczebla domów kultury. Prawda jest taka, że w wielu oddziałach mamy pół pracownika i kawalek biurka. Nas, jak i innych organizacja społecznych, nawet ustawa o upowszechnianiu kultury nie uznaje za instytucje czy placówki. Wynikają zresztą z tego konkretne konsekwencje — do naszych pracowników nie odnosi się zapis o podnoszeniu wynagrodzenia proporcjonalnie do płac w jednostkach gospodarki uspołecznionej. Można mówić bez przesady, że nasi pracownicy są faktycznie również działaczami społecznymi: za część wykonywanych obowiązków po prostu nie dostają zapłaty, nie mają kiedy odbierać wolnych dni, bo jest to niemożliwe przy obecnym stanie kadry etatowej. Jeżeli zaś mimo wszystko udaje się nam zrobić tyle, ile robimy, to właśnie dzięki aktywowi społecznemu. Oczywiście, różnie go można oceniać w różnych oddziałach, ale nie ulega wątpliwości, że on stanowi podstawową siłą stowarzyszenia. A proszę mi wierzyć — społecznicy nie mają dziś łatwego życia. Między hasłami a rzeczywistością jest różnica osiągająca nierzadko rozmiar przepaści. Są jeszcze kierownicy placówek, którzy potrafią powiedzieć: po co wy jesteście, nie macie pieniędzy, nie macie samochodów, nie macie sali, jak wam nie dam. Społecznik bywa traktowany jak intruz, jak ktoś przeszkadzający w uladzonym i uporządkowanym przepisami i dyrektywami życiu. Chyba długo przejdzie czekać na zrozumienie, że każdy kto z dobrej woli chce coś zrobić dla kultury jest skarbem wprost bezcennym — przy ciągłym braku kadry, przy kłopotach ekonomicznych. Tymczasem nieustannie tracimy tych ludzi, zniechęceni ich. Mieliśmy na przykład grono profesjonalistów, którzy chcieli współpracować przy tworzeniu Centrum Teatru Amatorskiego. Czekali rok, dwa, pięć, wzięli się za swoje sprawy — bo jak długo mieli czekać na wykorzystanie ich społecznej gotowości. Jest więc czymś niezwykle fakt, że jeszcze dziesiątki tysięcy „szaleńców” chce pracować w stowarzyszeniach, organizacjach. I dopóki ta chęć jest autentyczna i żywa, mowy nie ma o przeobrażeniu się w „instytucje”.

M.C.: Praca Towarzystwo w oddziałach to często działalność grona osób niekiedy zajmujących się ruchem od kilkunastu, a i kilkudziesięciu lat. Co z młodymi?

L.Ś.: To jest w ogóle niełatwy problem. Od dłuższego czasu jest wyraźnie widoczny proces „starzenia się” organizacji społecznych — zarówno ich władz jak i członków. Słychać co prawda głosy, że tak było zawsze, ale ja chciałbym wskazać na inny aspekt sytuacji Towarzystwa. Oto mianowicie w naszych akcjach teatralnych i popularyzatorskich przeważa młodzież. Sądzę, że akceptuje nasz program ruchu otwartego, nie stawiającego treściowych i formalnych ograniczeń, gotowego do dyskusji i nie unikającego trudnych spraw. Obliczamy, że np. w prowadzonych przez nas festiwalach, przeglądach, konkursach co roku uczestniczy kilkadziesiąt tysięcy młodych ludzi. A przecież ani ich przymuszamy, ani kupujemy. Więc chyba — powtarzam — program Towarzystwa nie jest odrzucany. Okazuje się jednak, że co innego luźne związki, a co innego przynależność do organizacji. Mógłbym wprowadzić pocieszać się, że w kilku oddziałach wojewódzkich „rządy” objęli naprawdę młodzi działacze, ale wolę z tym optymizmem poczekać.

Proszę jednak odnotować, że nie zapytałem, ilu młodych ludzi należy do organizacji młodzieżowych czy studenckich.

M.C.: Zbliża się kolejny Zjazd TKT — kolejne rozliczenia, a znów nie udało się powołać Centrum Teatru Amatorskiego, wydać podręcznika dla instruktorów i zrealizować wiele innych zamierzeń mogących rozwiązać trudną sytuację ruchu amatorskiego...

L.Ś.: Przed dwudziestu laty nasza organizacja prowadziła jedną akcję ogólnopolską — konkurs „Bliżej Teatru”, zaś tzw. „centrala” zalecała by ewentualnie oddziały przyłączyły się do niektórych działań wojewódz-

kich domów kultury. Od tego czasu wiele się zmieniło. Na dobrą sprawę każda kadencja przynosiła nowe inicjatywy. Przejelismy Ogólnopolski Konkurs Recytatorski, prowadzimy Ogólnopolski Festiwal Teatrów Amatorskich (co cztery lata), sejmiki teatrów wiejskich, weszliśmy — i to chyba mocno — w profesjonalne festiwale teatrów małych form i jednego aktora, przez kilka lat organizowaliśmy Międzynarodowe Biennale Teatru Amatorskiego, przygotowaliśmy wiele konferencji i sympozjów z zakresu upowszechniania kultury teatralnej. W ostatnim czteroleciu powołaliśmy w „centrali” i kilku oddziałach ośrodki upowszechniania teatru. Proszę do tego dodać dziesiątki mniejszych działań ogólnopolskich i wojewódzkich, a przecież — o czym już mówiłem — siły etatowe TKT nie zwiększyły się, a przeciwnie: ten sam zespół pracowników, który obsługiwał piętnaście oddziałów wojewódzkich, dziś musi wystarczyć na trzydzieści.

Ponieważ robimy coraz więcej, oczekuje się od nas, że podolamy jeszcze nowym zadaniom. A my po prostu nie mamy już sił. Z jednej strony cieszy nas zaufanie, z drugiej boli bezsilność. I jeszcze jedno: niektórych problemów nie powinniśmy podejmować, np. sprawy podręczników czy w ogóle wydawnictw. Natomiast niezrealizowanie idei Centrum Teatru Amatorskiego (moglibyśmy właśnie obchodzić smutną rocznicę dziesięciolecia złożenia programu) jest oczywistą porażką. Sądzę wszakże, iż nie jest to wyłącznie, ani nawet przede wszystkim porażka nasza.

M.C.: Jednym z zadań TKT miała być współpraca z zawodowymi placówkami teatralnymi, ale zdaje się nie najlepiej układają się te stosunki?

L.Ś.: Sprawa nie jest taka prosta jak się wydaje, już choćby z tej przyczyny, że współpracujemy z wieloma instytucjami i organizacjami. Z natury rzeczy tedy raz bywa lepiej, raz gorzej. Przede wszystkim trzeba zauważyć, że związki z niektórymi instytucjami są dla nas szczególnie ważne, wręcz niezbędne. W tej grupie jest Ministerstwo Kultury i Sztuki — konkretnie zaś Departament Domów Kultury i Działalności Społeczno-Kulturalnej. Zgrzeszyłbym, gdybym narzekał na tę współpracę. Myślę, że jest ona taka, jaka być powinna: my jesteśmy lojalni wobec mecenasa, a mecenas uznaje nas za partnera, którego nie można pominąć w żadnych kwestiach związanych z teatrem. Nie mamy też chyba wzajemnych pretensji w sferze kontaktów z Ministerstwem Oświaty i Wychowania, z Centralnym Ośrodkiem Metodyki Upowszechniania Kultury, z RSW „Prasa-Książka-Ruch”, z organizacjami młodzieżowymi.

Bardziej zróżnicowana jest sytuacja w dziedzinie współpracy z placówkami wojewódzkimi. Chociaż jeśli spojrzeć z tzw. „perspektywy lat”, obraz będzie dość optymistyczny. Kiedy przejmowaliśmy organizację Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego, odbywało się to przy akompaniamencie protestów wielu wojewódzkich domów kultury. Dzisiaj one same wychodzą z ofertą współpracy. Nie ma też urazy o to, że my „firmujemy” akcje ogólnopolskie, które w istocie realizują WDK-i, bo nasze oddziały nie mają takich możliwości. Myślę więc, że trochę mądrzej, mniej zaściankowo patrzymy na ruch kulturalny; wiemy już, iż ważne by on trwał, a nie kto podejmuje inicjatywę.

Z niektórych dążeń do współpracy nauczyliśmy się też — niestety — rezygnować. Przede wszystkim myślę tu o teatrze profesjonalnym. Ani SPATiF, ani ZASP nie widziały potrzeby bliższych związków z TKT, więc uznaliśmy, że możemy żyć bez tego. Podobnie jak bez życzliwości ze strony wielu teatrów, dla których ruch społeczny liczy się tylko jako pomocnik w zdobywaniu widza. Nie odpowiada nam taka rola. Może dlatego właśnie tak bardzo cenimy tych ludzi teatru, którzy chcą być blisko naszych spraw. Jest ich spora grupa i to nam wystarcza.

M.C.: Od 1973 roku Towarzystwo jest członkiem AITA/JATA. Jakie korzyści wynikają z tej współpracy, poza tym, że Pan Prezes odwiedza Danię?

L.Ś.: Mój wyjazd na festiwal do Kopenhagi był swego rodzaju nagrodą Ministerstwa Kultury i Sztuki za prowadzenie od piętnastu lat Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego. Realizację zresztą odkładałem przez dwa lata, bo nie bardzo miałem czas. Z AITA natomiast sprawa jest całkiem inna. Należymy do tego stowarzyszenia od kilkunastu lat i na pewno na tym nie tracimy. Przynależność ta zmobilizowała nas samych do wysiłku — trzykrotnie organizowaliśmy w Polsce międzynarodowe warsztaty (z teatrami: Studio, STU, Akademią Ruchu), do dzisiaj pamiętane przez uczestników. Poza tym nasi instruktorzy wyjeżdżali na warsztaty, zespoły brały udział w festiwalach, mamy kontakty z wieloma krajami. Przede wszystkim wiemy, co dzieje się na świecie — otrzymujemy materiały informacyjne, prasę teatralną i książki z różnych stron. Od kilku lat kontakty są luźniejsze, ale zawsze możemy je wznowić lub „zacieśnić”. Ważne, że przed laty byliśmy członkami małego stowarzyszenia, zaś dzisiaj AITA to blisko czterdzieści państw. Dość tanim tedy kosztem (składki są bardzo niskie) mamy lepsze samopoczucie: należymy do ruchu światowego. To naturalnie żart, który żartem być przestanie, gdy będziemy mieli środki na prawdziwą współpracę — wymianę zespołów, wyjazdy instruktorów, sprowadzanie specjalistów.

M.C.: Czy może zaistnieć sytuacja, że w sprawozdaniu na najbliższy Zjazd TKT, tak jak cztery lata temu, trzeba będzie ponownie stwierdzić: „Wszystkie poważne plany czekają na wykonanie, a waga spraw nie da się przecenić...”?

L.Ś.: Nie wiem jeszcze jak będzie wyglądało sprawozdanie, ale sądzę, że „rozliczenie” z wykonania uchwały poprzedniego Zjazdu może być dwójakie. Można mianowicie pytać o realizację ducha bądź litery. Gdyby przeważało to pierwsze, powodów do wstydu chyba nie było: nie wydaje mi się byśmy mogli zrobić dużo więcej, nie sądzę też byśmy sprzeniewierzyli się swoim ideom i zasadom. Rozliczenie natomiast według kolejnych punktów zapisu sprzed czterech lat, musi spowodować serię wyjaśnień. Na przykład kilka punktów dotyczyło naszego miesięcznika „Scena”: jego zawartości, drukowanego repertuaru, powołania społecznej rady oceniającej. Tymczasem sytuacja ekonomiczna zmusiła nas do przekazania pisma wydawnictwu, z pozostawieniem wpływu na obasadę stanowiska redaktora naczelnego oraz „moralnego” patronatu. Tak więc, być może trzeba będzie się znowu tłumaczyć, bo wciąż okazuje się, że precyzyjny plan nawet na krótki okres czterech lat nie jest w istocie możliwy. Mam wszelako nadzieję, iż więcej czasu poświęcimy na poważne dyskusje, niż na wyjaśnienia przyczyn niepowodzeń, że Zjazd solidnie i wszechstronnie rozważy program stowarzyszenia na następne czteroletnie, ale już z myślą o dalszej przyszłości.

M.C.: Dziękuję za rozmowę.

Rozmowa odbyła się w lutym 1987 r.





Lech Slivonik — wiceprezes ZG TKT

GŁOSA DO GŁOSA

W gronie tegorocznych dyskutantów pewnego wojewódzkiego Zjazdu Towarzystwa Kultury Teatralnej pojawił się Głos zaproszony z Centrali i oznajmił, między innymi, rzecz następującą: „...Na wschód od Wisły mamy dziewięć teatrów zawodowych, a na zachód pięćdziesiąt dwa. Do pierwszych w ostatnim (czyt. minionym) sezonie przyszło trzysta siedemdziesiąt tysięcy widzów, a do drugich milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Na tzw. objeździe w skali kraju zaliczyło spektakle milion dwieście tysięcy widzów...”

Głos był uczony i szacowny, a przy okazji na tyle dobrze mi znany, iż znalazłem informację za rzetelną. Wiedząc jednak, że Głos nigdy nie mówi czegokolwiek sobie a muzom, choć jest z nimi na przyjacielskiej stopie, przeczulem ukrytą w owym akapicie dobroduszną złośliwość i w „ciszy” domowego czworokąta postanowiłem przetłumaczyć tę zagadkę z prawdy GUS-u na naszą codzienną.

Wynik, jak należało się spodziewać, był zgodny z miarą naszego czasu, bowiem, generalnie rzecz biorąc, wyszło na to, iż wiślany wschód ma zdecydowaną przewagę nad zachodem. I słusznie. Kiedy się jednak spojrzy nieco uważniej na szczegóły owego zagadnienia zamiast jednostronnej przewagi dostrzeżę się dość wyraźnie obustronną, wspólną niedowagę. Z poczynionych wyliczeń wynika bowiem niezbitcie, iż do wschodniego teatru dziennie (w ubiegłym roku) chadzało średnio stu trzydziestu siedmiu widzów, a zachodniaków w tym samym czasie było na widowni tylko osiemdziesięciu. A to zaś stawia kolejną dziedzinę naszego doczesnego życia w stale powiększającej się grupie zjawisk rodzimego paradoksu, w którym, krótko mówiąc, istnieć może coś, co z racjonalnego i ekonomicznego punktu widzenia właściwie istnieć nie powinno. Mamy wszak koleje państwowe bez taboru i szyn, banki S.A. bez możliwości wybierania w każdym z nich dewiz wedle życzenia klienta, współczesne filmy bez sprawnej kinematografii, kolorowe plakaty przy czarno-szarej poligrafii, magistrów sztuki bez artyzmu, książki z rejestru bez czytelników, itd., itp., itd. Jest to właściwie szara codzienność, do której na tyle zdążyliśmy się przyzwyczaić, iż kolejny wpadający w ten dołek nie wzbudza w nas zbytowego zaskoczenia.

Gdyby zatem szło, powiedzmy, o mleko, które mimo dofinansowywania przez państwo, uściślijmy — za nasze podatkowe pieniądze, nie zawsze po wypiciu przydaje nam zdrowia, to rzeczywistość nie byłoby się czym przejmować. Zwłaszcza, że zawsze przecież można ów niepewny napój zastąpić „wodą pitną” i na czysto, bez dotacji ugasić pragnienie. Ale w tym szczególnym przypadku mamy do czynienia z wartością ponadżołądkową i nie można nad przytoczonym głosem z dyskusji TKT przejść zupełnie obojętnie.

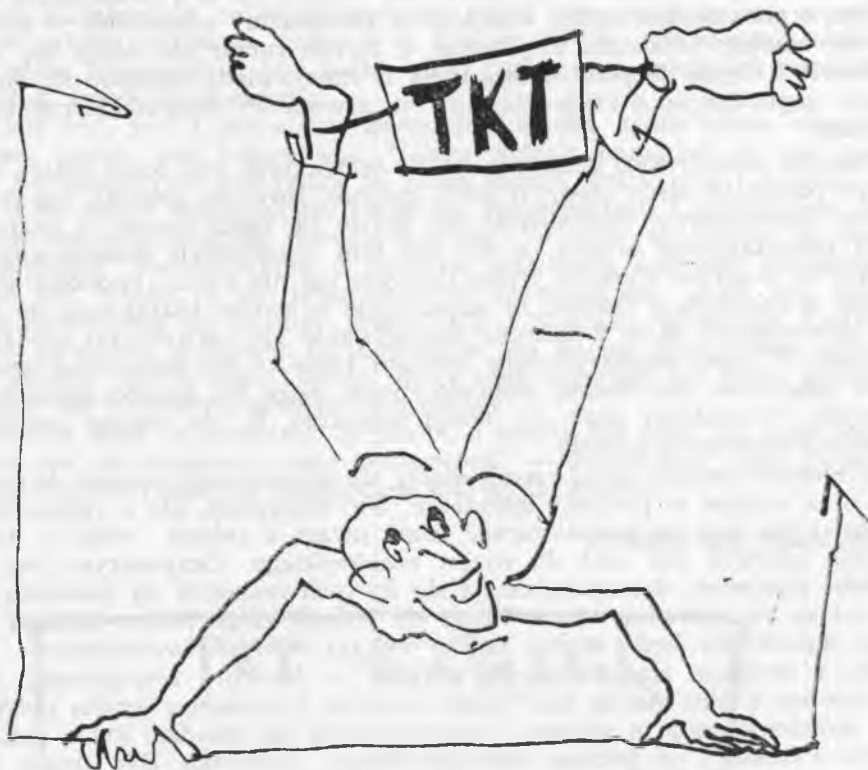
Idzie bowiem o teatr jakże ściśle związany z polską tradycją kulturową, o historię wydarzeń scenicznych niosących przetrwanie pokoleń, o kreacje stanu i ducha narodu, który jakby naraz przestaje interesować się czymś, o co jeszcze niedawno tłumnie się dobijał.

O przyczynach tego stanu rzeczy paragrafista decydent powiedziałby krótko — kryzys i szukałby poprawy w szóstym etapie reformy, kiedy być może już nie poza kulturą nie będzie podlegać przemianom, podmiannom i skrótom atestacyjnym. Z kolei teoretyk teatru rozwinie ten problem w kilku tomach dzieła i w wieku emerytalnym otrzyma profesurę. Stąd też na tych kilku skromnych stronach w żaden sposób całej sprawy zanalizować się nie da, ale o paru jej aspektach wspomnieć nie zawadzi.

W środowisku teatralnym twierdzą, iż powodem pustych rzędów na widowni w trakcie spektakli jest niedouczenie widza, jego totalna indo-

lencja i zbałamucenie konsumpcyjne. Widz zaś stara się przekonać środowisko, że jak mu wieje ze sceny nudą, to i on wieje. Środowisko chce go obkoczyć pozatekstowymi pomysłami, a on nijak nie może zaskoczyć i po wyjściu z teatru już do końca sezonu porażony sztuką zastanawia się w domu: o co do cholery w tym wszystkim chodzi? Co gorsza, do tej samej konstatacji usilnie namawia go telewizja i bądź tu człowieku mądry.

Środowisko jakby zapomniało o starej prawdzie, że im głośniejszy aktorzy śmieją się na scenie, tym smutniej jest na widowni, że kiedy po scenie chodzą wyłącznie zakodowane ideologie, to ludzie przestają rozumieć ludzi. Widz nie chce Hamleta zupełnie odartego z nastroju człowieczeństwa. W natłoku systematycznego przypominania mu o szarym doczesnym byciu chciałby czasem uczestniczyć w niecodziennych zdarzeniach. W teatrze interesuje go mądrość, a przy tym normalność. Bywa, iż szuka w nim odprężenia, ale nie interesują go wydumane komedie. Widz w teatrze chciałby znaleźć odpowiednie bodźce myśli i uczuć. Nie ak-



ceptuje jednak słownego niechlujstwa. I nie chodzi tu o tzw. wyrazy, lecz o poprawne i logiczne wypowiedzianie tekstu. O widzu zatem można mówić różnie, ale nie wolno go lekceważyć. Wszak bez niego, bez jego wyzwolonej reakcji nie można praktycznie mówić o zjawisku, czy też jakimkolwiek wydarzeniu teatralnym.

Niestety, tak się jednak z błędnego rozeznania w jego gustach i możliwości percepcji narobiło, iż z jednej strony mamy spektakle dla grup elitarnych, które brakujące (czyt. niemilosiernie wycięte wysiłkiem reżysera) fragmenty pierwowzoru zawsze dopowiedzą, gdyż na szczęście

przed pójściem do teatru tekst dokładnie przeczytały, a z drugiej zaś pojawią się sztuki lekkie, łatwe i przyjemne dla spóźnionych, którzy mieli do czytanki pod górę, a do życia w dół. Natomiast w środku tych dokonaj jest pustka dla średniaków, co jakiś czas łatana, na przykład, wystawianiem serii lektur szkolnych. Niektóre z nich są, rzecz prosta, kanonem literatury teatralnej, ale nie wszystkie, nie wszystkie i granie ich w ramach pomocy szkole jest nie tyle sukcesem, ile interesem finansowym instytucji teatralnej. Oczywiście, iż przy okazji ma radochę sama młodzież, która oglądając te inscenizacje jakoś zapomina o przeczytaniu oryginałów.

By ktoś w tym miejscu nie posądził mnie o zbyt daleko idące uogólnienia, od razu przyznaję, iż mamy w kraju również kilka znamienitych teatrów, do których publiczność zjeżdża z różnych krańców Polski i nie trzeba tu żadnej organizacji widowni. Są to jednak wyjątki i chociaż te powinny zawsze potwierdzić regułę, w tym przypadku, zwłaszcza w przekroju ostatnich lat, stało się o dziwo odwrotnie. Wyjątki pewne dlatego ostały się wyjątkami, gdyż oparły się panującym regułom.

Ale wracajmy do widza, który zanim dojrzałe i samodzielnie zacznie wybierać między Teatrem, a „Teatralną” kształtuje swą świadomość sceniczną w amatorskim ruchu teatralnym. Powiedzmy właściwiej — kształtował, bowiem ostatnimi laty także w tymże ruchu nie dzieje się zbyt ciekawie i chyba bezpowrotnie minęły te czasy, kiedy chodziło się do teatrów zapominając o rozgraniczeniu na zawodowe, studenckie czy amatorskie.

Obecnie amatorskich zespołów stricte teatralnych jest coraz mniej, a te które pozostały nieco obniżyły swój poziom. Nowych niestety nie przybywa. Instruktorów teatralnych też. Myślę tu, rzecz prosta, o pasjonatach posiadających wiedzę, a nie coś tam wiedzących przeszkolonych, którzy w praktyce niewiele widzą i prawie nic nie słyszą. Podobnie dzieje się w szkołach. I szkoda, że nauczyciele w swoim kształceniu do dziś nie przewidzieli zajęć z zakresu posługiwania się teatralnymi środkami wyrazu. W placówkach oświaty bowiem teatr to nie konkretny przedmiot nauczania, lecz rodzaj pozalekcyjnych zajęć dla garstki zainteresowanych. Powiedzmy przy tej okazji wyraźnie, iż nie zawsze polonista znaczy jednocześnie artysta.

W efekcie takiego stanu rzeczy mamy na amatorskich scenach krzykliwe oraz nijakie w pomysłach spektakle. Nie wszystkie, ale o regule było wyżej i nie ma się co powtarzać, choć uwagi o relacji widz — teatr pasują również jak ulał do ruchu amatorskiego. Czywistym jest, iż młodzi zapaleńcy, którzy zgłaszają się do tych zespołów by posmakować teatru są tu najmniej winni. Ucząc się jednak złego teatru niczego już jako dorośli nie będą szukać nawet w tym dobrym zawodowym.

No i wreszcie stała, koronna pozycja — konkurs recytatorski. Potocznie się o nim mawia tak: walka uczniów o stopień z języka polskiego, mówienie sobie a muzom i przepychanka na zasadzie kto z daleka, a kto z bliska i od jakiego instruktorskiego nazwiska. Być może jest w tych głosach pewna przesada, ale i racji także niemało.

Ciekaw jestem, na przykład, co by to było, gdyby naraz w szkołach dano uczniom wolną rękę w udziale w tymże konkursie i nie używano argumentów stopnia oraz obrony honoru szkoły. Przypuszczalnie gros młodzieży by odpadło. Jest to jednak, jak miemam, założenie z gruntu nierealne. Cóż bowiem wtedy mogłyby odnotować w raportach kuratoria? Nie, to jest nie do przyjęcia i jakaż plama w resorcie.

A teraz same eliminacje, powiedzmy wojewódzkie. Przez dwa, trzy dni recytatorzy słuchają co roku prawie tych samych recytatorów, znają wzajemnie teksty na pamięć i właściwie czekają tylko na moment potknięcia konkurenta. Słucha ich także kiluosobowa komisja, którą trzeba naprawdę zaskoczyć wypowiedzanym tekstem. Ale gdzie tu faktycz-

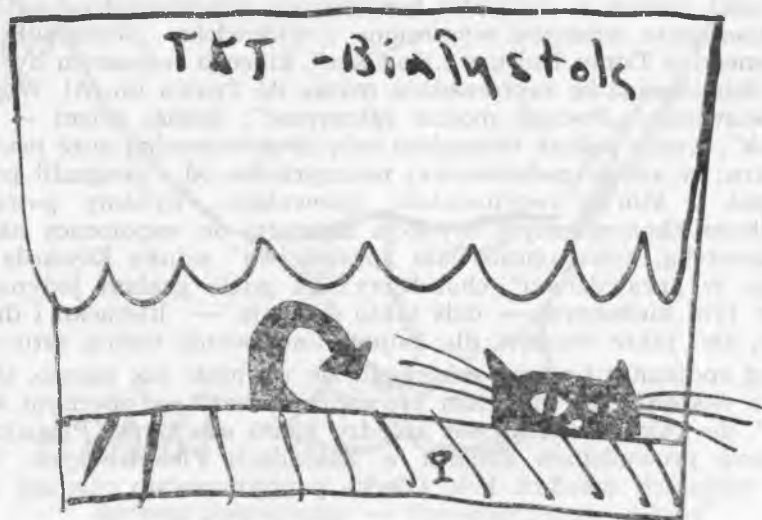


na edukacja i przekonywanie pozostałej społeczności o potrzebie znajomości literatury oraz konieczności poprawnego mówienia we własnym języku?! Gdyby tak, na przykład, w ciągu tych dni konkursowicze wystąpili kilkakrotnie, za każdym razem przed inną publicznością w szkole, w jakimś zakładzie pracy i w Klubie MPiK, a komisja oceniłaby wszystkie wystąpienia, być może, efekt byłby wyraźniejszy i punktacja bardziej uprawdopodobniona.

Teatr był, jest i pozostanie gatunkiem sztuki, która mimo wszystko zawsze będzie nas fascynować. Należy jednak pamiętać, że nie może być wyizolowanym pomysłem na samą formę. Teatr żyje i rozwija się nie tylko dzięki doskonaleniu rzemiosła reżyserskiego i aktorskiego, lecz przede wszystkim dzięki nowym myślom i ostremu spojrzeniu na świat współczesny. Kształtowanie w młodym pokoleniu wartości teatralnych także jest sztuką, a nie programowym obowiązkiem. Stąd też mimo ostoi krzewienia tej kultury przez TKT i Studium Wiedzy o Teatrze, mimo pewnych wysiłków czynionych w tej mierze przez takie teatry, jak choćby warszawska Ochota, rzecz cała wymaga nie tylko głębszej analizy, ale rzekłbym, pewnego przewrotu.

„Można mieć znakomitych artystów, a szkoły nie mieć, za czym idzie. że się nie ma ustalonej masy konsumpcji” — nawoływał ongiś Cyprian Kamil Norwid i dziś nic innego dodawać tu nie trzeba.

Przemysław Skarżyński

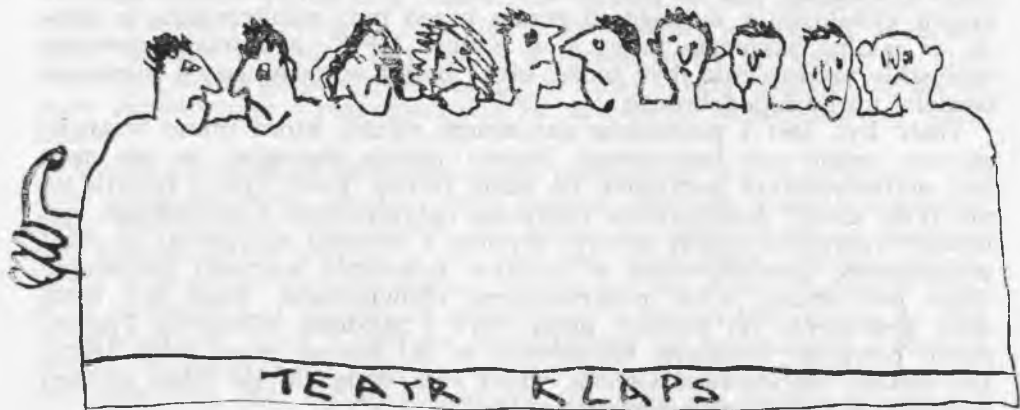


„...sztuka jest nie tylko instrumentem wychowania, ale także swoistym poznaniem świata”.

Bogdan Suchodolski często podkreśla znaczenie ekspresji, wyobraźni, które umożliwiają „...przekroczenie konwencji estetycznych i artystycznych. Sztuka może przeniknąć różne dziedziny życia i świadomości człowieka, uczestniczyć równocześnie w kształtowaniu jego intelektu, wrażliwości, wyobraźni i postawy twórczej”.

Tego typu świadomość własnej pracy z amatorskimi zespołami teatralnymi i młodzieżą zajmującą się recytacją indywidualnie posiadam dzisiaj. Złożyły się na nią przeczytane lektury, udział w wielu warsztatach teatralnych organizowanych centralnie przez ZG TKT i COMUK, a przede wszystkim dwadzieścia siedem lat „prób i błędów” popelnionych w pracy z dziećmi i młodzieżą uczącą się, studiującą i pracującą.

Jestem przekonana, że na mój pęd do ukierunkowanej na teatr wiedzy, swoistą otwartość na drugiego człowieka i pragnienie wspólnego



kształtowania naszego życia poprzez amatorską twórczość teatralną (tak!), „zapracowało” wiele osób z którymi miałam szczęście spotkać się po drodze. Pragnę tu zwrócić uwagę na znaczenie takich właśnie spotkań.

Najpierw więc, oczywiście atmosfera rodzinna; zaraz potem niepowtarzalna aura jasełek w wiejskim kościele; po przeprowadzce do Białogostoku niezatarte wrażenie wyniesione z widowiska. „Niebieskie migdały”, granego w Domu Kultury „Kolejarz”, którego reżyserem był Piotr Sawicki; dziewięcioletką zaprowadziła matka do Teatru im. Al. Węgierki na przedstawienie „Pociągi można zatrzymać”, dzisiaj wiem — „produkcyjniak”, wtedy jednak chłonęłam całą niepowtarzalną aurę prawdziwego teatru; w szkole podstawowej nauczycielka od... geografii prowadziła zespół, w którym recytowałam, śpiewałam... byliśmy potrzebni; w Technikum Ekonomicznym dyrekcja zaprosiła do współpracy aktorkę Marię Hamerską, która opracowała „prawdziwą” sztukę Edwarda Łaskowskiego, w „prawdziwej” charakterystyce gdzie grałam jedyną rolę kobietą w tym niedobrym — dziś takto oceniam — literacko i dramatycznie, ale jakże ważnym dla mojego umiłowania teatru, sztuczdy.

Ten ciąg spotkań z teatrem zakorzenił się we mnie tak mocno, iż pracując jako ekspedientka zaczęłam prowadzić kabaret w obecnym klubie „Hermes”, do którego uczęszczali koledzy starsi ode mnie. Pracując jako księgowa prowadziłam kabaret w Zakładach Piekarniczych. Ucząc dzieci w wiejskich szkołach koło Olecka przygotowałam również spek-



Antonia Sokółowska — dyrektor teatru „Klaps”

takle z dorosłymi mieszkańcami: żoną sołtysa, kierownikiem szkoły, kierownikiem zlewni mleka, pracownikami PGR-u.

Kiedy wspominam tamte czasy z politowaniem kiwam głową nad własną niewiedzą „reżyserską”, całkowitym brakiem rozeznania repertuarowego... bo i skąd miałam o tym wiedzieć? To przyszło potem, podczas wspaniałych lat „terminowania” na Studium Teatralnym CPARA (stałe kontakty z teatrami, możliwość śledzenia pokazów w galeriach sztuki, wspaniali wykładowcy, samodzielna i grupowa twórcza praca...). Nie wiem kogo należy przeklinać za rozwiązanie tej placówki w latach siedemdziesiątych i nie powołanie niczego w zamian.

W 1965 r. powrót do Białegostoku i... „Klaps”! A jednocześnie praca w OW TKT a potem w Dziale Teatralnym WDK. Ponadto Zespół Estradowy w Podlasko-Mazurskiej Brygadzie WOP, Zespół Estradowy „B-complex” w Zespole Szkół Medycznych, Koło Żywego Słowa w Szkole Ćwiczeń. Ten ciąg doświadczeń wpłynął na moje pojmowanie amatorskiego ruchu teatralnego. Z uporem maniaka powtarzam wszędzie od lat o konieczności permanentnego przysposabiania przez sztukę — do odbioru sztuki.

Kształcenie odbioru sztuki nie jest niezbędne w życiu społecznym i zawodowym — tak sądzi wielu dyrektorów zakładów pracy a nawet nauczycieli i rodziców. Nic błędniejszego. Wychowanie przez teatr rozumiem jako wychowanie przez uczestnictwo w amatorskim ruchu teatralnym i formach pochodnych (recytacja, poezja, śpiewanie). Jestem przeciwna takiemu teatrowi amatorskiemu, który stawia dziecko przy drążku i każe werbalnie ćwiczyć ruch sceniczny lub w formie nie przystosowanej do wieku „poprawia” kulturę mowy. Dlatego tak krótko żyje większość zespołów. Amatorska grupa teatralna nie może sobie zakładać konkurencji z teatrem profesjonalnym (takie zjawiska spotykamy bardzo często), a szukać winna własnych, odrębnych dróg, tematów, sposobów realizacji wyrażających problemy wynikające z życia uczestników zespołu.

Spotykam się od lat z niezrozumieniem a przynajmniej zdziwieniem wielu „znawców tematu”, że przyjmuję do grupy osoby z wrodzonymi wadami wymowy, brakiem słuchu muzycznego i wycucia rytmu, osoby „zamknięte”, nieśmiałe. „Gdybyś zrobiła większe sito, wówczas reżyserowane przez ciebie programy byłyby lepsze artystycznie, powstawałyby szybciej, częściej...”. No właśnie... Od lat głoszę to co wynika z mojego najgłębszego przekonania, że podstawową funkcją pracy w zespole teatralnym jest WYCHOWANIE, a jeżeli przy tym zostanie zrealizowane dobre przedstawienie, radość się zwielokrotnia. Moim zdaniem (i na szczęście nie tylko moim) grupa amatorska ma prawo po długim nawet okresie pracy nad widowiskiem przerwać próby i zająć się czymś innym. Bez konsekwencji i sankcji. Jasną sprawą jest, że spotkania-próby zmierzają do pokazu publicznego efektów pracy ale dochodzenie do tych efektów i to wszystko o co wzbogaca się aktor-amator (również akustyk-, elektryk-, scenograf-amator) „po drodze” — jest najważniejsze. Uczestnik spotkań amatorskiej grupy teatralnej winien przede wszystkim zyskać:

- umiejętność bycia w grupie(stąd od lat upieram się przy organizowaniu letnich obozów Teatru „Klaps”, które są miejscem pracy artystycznej ale również, a może głównie „sprawdzają” uczestników pod względem zachowań, chęci wzajemnej pomocy, umiejętności współpracy itp.);
- odpowiedzialność za własny wkład w opracowane przedstawienie ale i za całość, za wspólny efekt końcowy;
- większą otwartość na otaczający świat i problemy innych ludzi, wrażliwość i spostrzegawczość zjawisk i problemów;
- umiejętności techniczne takie jak: świadomość własnego ciała, dos-

konalenie głosu i mowy;

— wiedze (z pewnością przekraczającą programy szkolne w zakresie literatury, znawstwa poezji i prozy ojczystej i światowej) oraz próby interpretacji scenicznej.

Starożytność przekazała nam wspaniałą legendę o Demostenesie. Przesłanie jakie z niej wynika powinno być jednym z głównym celów ruchu teatralnego: dbałość o estetykę podstawowego środka porozumienia między ludźmi — języka ojczystego. Ale w sposób dostosowany do wieku, poprzez zabawę i gry dramatyczne z dziećmi a świadome ćwiczenie i analizę błędów z dorosłymi.

Antonina Sokółowska

TEATR POKOLEŃ

Chociaż do ośrodków kultury dość głośno puka nowy sezon, a tu i ówdzie opowiada się o niedawnych koncertach rodzimych „Kurpii Zielonych” we Francji (o czym dokładniej w następnej „Dyskusji”) nic tak nie zajmuje przedstawicieli światka kultury w naszym terenie, jak zbliżający się dziesiąty Ogólnopolski Zjazd Towarzystwa Kultury Teatralnej, który postanowił obradować na naszych ziemiach. I dobrze zrobił, bowiem białostockie to nie biała plama w działalności teatralnej, lecz w niektórych przypadkach zupełnie niezły koloryt.

Aby nie być gołosłownym zobaczmy, co dzieje się w Boćkach u Genowefy Łucjanowej, w Bielsku Podlaskim u Janiny Plutowicz-Łucjan, w Siemiatyczach u Zofii Piętkowej i Ewy Piętki w Białymstoku. Czyli u matek i córek, które wrażliwość, talent i pasję poświęciły teatrowi.

Ja wybrałam

W Bielsku aktualnie działają dziecięce teatry lakowe: w Domu Kultury, Szkole Podstawowej nr 3 i w Klubie RUCH w Studziwodach należących do Bielska. Są także dwa zespoły białoruskie i Teatr Poezji „Parras”, którymi opiekuje się BTK. Na scenie bielskiego Domu Kultury często prezentują się: Białostocki Teatr Lalek i Teatr im. Al. Węgielki, z czego korzystają mieszkańcy okolicznych miejscowości. Mówiąc krótko w Bielsku Podlaskim słychać teatr i o teatrze głośno.

— Ale to nie wszystko — podkreśla Janina Plutowicz, instruktor teatralny bielskiego Domu Kultury. — Stale prowadzimy spotkania, w czasie których prezentowane są monodramy w wykonaniu aktorów zawodowych, a potem dyskutujemy o teatrze. Włączamy w ten cykl również eliminacje Konkursu Recytatorskiego, słuchamy grup wykonujących poezję śpiewaną i pokazujemy teatrzyki dziecięce. Imprezy te i im podobne dość często organizujemy w innych placówkach niż Dom Kultury przez co docieramy z teatrem do najszerszych kręgów społecznych. Po prostu staramy się kontynuować dawną tradycję tego terenu, gdzie teatry ludowe były równie gorąco przyjmowane przez widzów jak folklor pieśni i tańca.

Kilka osób z Bielska ukończyło wyższe uczelnie aktorskie. Z tego środowiska wywodzą się instruktorzy teatralni, a ostatnio w tutejszym Liceum Ogólnokształcącym powstał teatr szkolny, który, między innymi, wystawił sztukę Różewicza „Stara kobieta wysiaduje”. Od dwunastu lat działa dość znacząco koło TKT, które pięć lat temu przekształciło się w oddział Towarzystwa Kultury Teatralnej. Zresztą bez TKT trudno obecnie byłoby przeprowadzić choćby wyżej wspomniany cykl spotkań.

— Myślę, że nieprzypadkowo gościła u nas trzy lata temu Komisja Organizacyjna TKT — dodaje Pani Janina. I nieprzypadkowo we wspólnym spotkaniu wzięli udział naczelnik gminy, inspektor oświaty, dyrektorka RSW i przedstawiciele różnych bielskich środowisk. W czasie tej

dość żarliwej dyskusji była szansa przedstawienia naszego dorobku, a bielszczanie dowiedzieli się o wydarzeniach amatorskiego ruchu teatralnego w Polsce. A tak przy okazji przed Zjazdem TKT pozwolę sobie na jedno zdanie o naszej „Scenie” (miesięczniku TKT). Brakuje mi tam stałego cyklu prezentującego dorobek ruchu teatralnego poszczególnych regionów. Ja, na przykład, wiem, że w olsztyńskim bardzo dobrze pracują, ale niech się o tym dowiedzą i pozostali działacze teatralni.

Myszę, iż przy okazji publikowania na łamach „Sceny” materiału z Bielska Podlaskiego byłoby ciekawostką podkreślić, iż teatr dziecięcy prowadzony przez Panią Janinę nie jest wyłącznie lalkowym, ani też nie zawsze gra żywym planem. Jest to bowiem, praktycznie rzecz nazywając, grupa warsztatowa, w której proponowane są wszelkie formy zabawy w teatr.

— Dzisiaj dzieci, czy młodzież nie wezmą tekstu dlatego, że ja im, to daję — mówi Pani Janina. — One wybierają i potrafią wybrać. Tak jak ja wybrałam. Bowiem teatralne zespoły amatorskie, w których kiedyś grałam nauczyły mnie tego, że pracuję w tej dziedzinie i innej sobie nie wyobrażam.

Wymyśliłam Siemiatyckie Dni Teatru

Siemiatyckie odległe o 50 km od Bielska Podlaskiego także od pokoleń krzewiły kulturę teatralną. I kiedy przyjechała tu Zofia Piętka, łatwo znalazła grupę młodzieży chętną do zabawy w teatr.

— To prawda — zaczyna swoje wspomnienia. — Siemiatyckie miały od dawna teatralną atmosferę. Kiedy przyjechałam tu z Olsztyna istniały w Siemiatyckach teatryki szkolne. Ponieważ kilka lat wstecz zrobiły na mnie ogromne wrażenie dwie sztuki: „Grzech” Żeromskiego i „Niemcy” Kruczkowskiego postanowiłam wystawić je na początek. Społeczność Siemiatyck przyjęła nas bardzo gorąco. Graliśmy także w kilku miejscowościach gminy i tak to się praktycznie zaczęło. Potem był Czechow: „Niedźwiedź” i „Oświadczyzny”, Balucki, Perzyński i wiele, wiele spektakli. Czechowa zagrałam także wspólnie z młodzieżą z Ciechanowca: dochód z tych przedstawień przeznaczono na budowę Muzeum w tym miasteczku.

W moim zespole ludzie się zmienili, niektórzy po kilku latach wracali i było co wspominać, gdy wracaliśmy pamięcią do pierwszych spektakli w starym Domu Kultury gdzie przy piecyku żelaznym grało się teatr, który był naszą pasją.

Członkowie tego zespołu weszli jednak w lata, dzieci i rodziny, co utrudniło dalszą, zajmującą jednak czas działalność w grupie teatralnej. Stworzyłam zatem nowy młodzieżowy Teatr Poezji „Metafora”, który istniał dziesięć lat. I z tym zespołem pojechałam do Wilna dać kilka koncertów poetyckich złożonych z tekstów Mickiewicza, a program miał, przynajmniej, dość przewrotny tytuł: „Ballady litewskie”. Tam też poznałam amatorski teatr grający w języku polskim i przyrzekłam, że sprowadzę ich do Polski. Nie było to łatwe, więc wymyśliłam Siemiatyckie Dni Teatru. Założyłam, iż powinno być to spotkanie teatrów amatorskich z zawodowymi poświęcone teatrowi z epoki Oświecenia. Szło o to by nasza młodzież zaczęła sięgać częściej do literatury z tamtych czasów. W założeniu było również podnoszenie kultury teatralnej w samych Siemiatyckach, z których, przypominajmy, wywodzi się Daniel Olbrychski. Ten pomysł zaakceptowali dyrektorzy teatrów: Hubner i Sewruk, zaproszenie do udziału w spotkaniach przyjęli Olgierd Łukaszewicz i Maciej Damięcki, przyjechały teatry amatorskie z Bałegostoku, wystąpiły oczywiście moje zespoły i zaczęły się Dni. Był rok 1975.

Teatr z Wilna zagrał wtedy „Dwie matki” i „W czepku urodzoną”. Było to wydarzenie, ale najgoręcej przyjęto „Odprawę posłów greckich” wystawioną w starej Synagodze, wśród jej kolumn i przy zapalonych ogniskach zielnych. Stale w Siemiatyckich Dniach Teatru brał także udział



Zofia Piętka — inicjatorka Siemiatyckich Dni Teatru

Białostocki Teatr Lalek. Niestety w roku 1980 kiedy zrezygnowałam z pracy w Siemiatyckim Domu Kultury (gdyż teatr dusz i słowa zastąpił nieco inny — dop. aut.) jego decydenci doszli do wniosku, że nawet nieudolny folklor jest lepszy od interesującego teatru i po pięciu latach Siemiatyckie Dni Teatru upadły. Ja zaś założyłam przy Spółdzielni Mieszkaniowej w Siemiatyczach kolejny teatr poezji „Melpomena”. I nie żałuję.

Szkoda jednak, iż na nas pasjonatów patrzy się czasem podejrzliwie, a to przecież my kształtujemy w środowisku przyszłych odbiorców kultury. Nie jestem zresztą jedynym przykładem. Jest w Liceum w Drohiczynie nauczycielka — Irena Paprocka, która od dwudziestu lat prowadzi szkolny teatr i nie ma nawet odznaki Zasłużonego Działacza Kultury. Jeżeli Pan może zdziałać jakimś cudem, by na Zjeździe TKT zau-

ważyć jej pracę na niwie teatralnej i dać jej dowód uznania, to niechże ma tę satysfakcję.

Cud się, być może nie zdarzy, ale myślę, iż nasi białostoccy wielcy od kultury wezmą ów głos pod uwagę. A Siemiatyckie Dni Teatru? Na szczęście wracają. I to dlatego, iż obecnym dyrektorem Domu Kultury w Siemiatyczach jest dawny członek zespołu teatralnego Pani Zofii. Wracają spotkania teatralne, o których, nie oszukujmy się, dzięki pasji Pani Piętkowej, wyraził się tak Wojciech Pszoniak: „...Żeby mógł istnieć teatr w Warszawie, Krakowie, czy Wrocławiu niezbędne są czasem w głębokim terenie grupy zapaleńców rozmilowane w literaturze i teatrze.”

Zdanie to padło po obejrzeniu spektaklu „Metafory” w roku 1980 w czasie ostatnich Dni Teatru w Siemiatyczach.

Czy ktoś powie podobnie w tym roku?

Powrót do sedna

Bogdan Bajnowski — Dyrektor Ośrodka Kultury w Siemiatyczach dwadzieścia lat temu przeżył przygodę teatralną grając w zespole prowadzonym przez Zofię Piętkową. Z tego do dziś została mu żona, dawna koleżanka z zespołu i potrzeba pracy w kulturze. Dyrektorem został niedawno i pierwszą jego myślą było reaktywowanie Siemiatyckich Dni Teatru. Powrót ten, jak myśli, znowu rozbudzi środowiskowe zainteresowanie teatrem, a w przyszłości może wprowadzi Siemiatycze do ogólnopolskiej mapy wydarzeń teatralnych.

Siemiatyckie Dni Teatru odbędą się zatem między 23 a 25 października br. Będą pewnie skromniejsze, niż poprzednie, ale będą znaczące. Poza spotkaniami teatrów amatorskich z BTL i Teatrem im. Al. Węgiełki, odbędzie się bowiem zjazd wszystkich byłych członków teatru Pani Zofii. Zaproszeni są także ci wszyscy, którzy pracując w teatrze zawodowym zawsze znajdowali czas, by nie tylko uczestniczyć w tej imprezie, lecz także pomagać w jej zorganizowaniu. Teatr w Siemiatyczach ostał się zatem burzom, a tutejszy oddział TKT odnotowuje nie tylko powrót do tradycji ale i powstanie Koła Miłośników Teatru we wsi Kajanka. Skrzyknęli się sami, bez zbytej namowy.

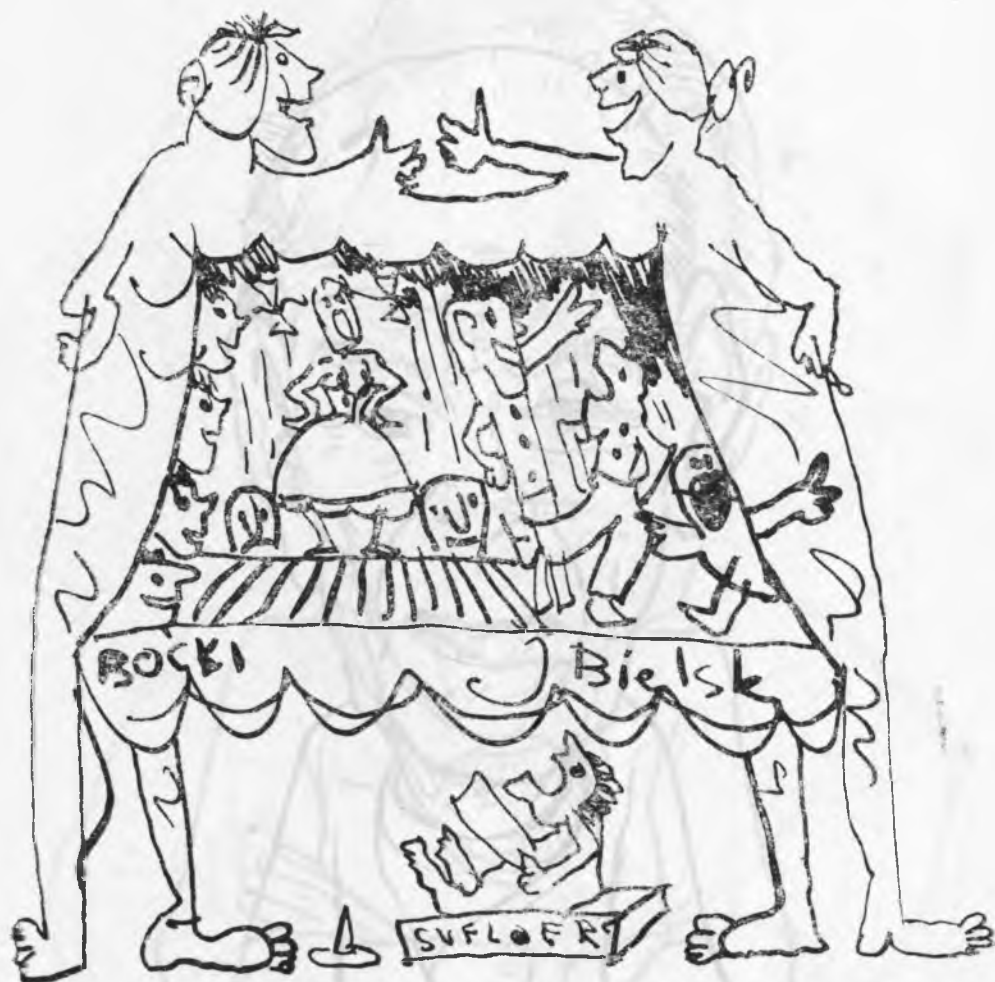
To trzeba lubić

Podobnie sama z siebie jest postacią Bociek Genowefa Łucjanowa. Długo by o niej pisać i filmu nie byłoby za wiele. Skupmy się zatem na jej działalności teatralnej.

W skromnym Domu Kultury, który sama prowadzi, istnieją dwa zespoły lalkowe: „Roślinka” i „Zazulka” oraz teatralny zespół młodzieżowy „Małe Grotty”. Rocznie wystawiają około sześciu, ośmiu spektakli. Ich działalność doprowadziła także do tego, że teatry lalkowe powstały przy szkole podstawowej w Boćkach i w szkole w Wiercieniu.

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że owe trzy zespoły z Domu Kultury prowadzi Pani Genowefa i to darmo, gdyż zna fundusze swej placówki i wie, że na przyjeźdnego instruktora nie mogłaby sobie pozwolić.

— Skąd się wzięło to zamilowanie, Pani Genowefo? — Ja to robię, bo lubię — odpowiada skromnie. — A zaczęło się od tego, że w szkole do której chodziłam prowadził pięćdziesięcioosobowy zespół teatralny Edward Konarzewski i on przekazał nam swoje pasje, a mnie później ten teatr. Graliśmy różne sztuki: „Zakochana majstrowa”, „Chata za wsią”, „Śluby panięńskie”, „Dożywocie”, „Fircyk w zalotach”, itp. Grali z nami wspólnie nauczyciele, na występy jeździliśmy po gminie furmankami i do dziś ludzie pytają, kiedy jeszcze przyjeździemy. Tak pytają, że chyba się skuszę i zrobię spektakl z dorosłymi. Szkoda tylko, że od kilku lat nie przyjeżdża do Bociek teatr dramatyczny z Bałegostoku. Mówią, że za mała scena, a ja powiadam, że ta sama scenka była



dobra dla poprzednich dyrektorów tego teatru i mieliśmy tu różne profesjonalne sztuki. Dzisiaj nauczyciele także się do teatru nie garną. Dlaczego? Trudno powiedzieć. Może ich tego w szkołach nie uczą.

Lucjanową wszyscy znają i lubią. Dorośli dzięki niej garną się do zespołów, a dzieci nie dają prawie wytchnienia. Tak to jednak jest, gdy wiedza, wrażliwość i pasja grają w jednym człowieku w tej samej tonacji.



Genowefa Lucjanowa i Zofia Piętka — odznaczone Krzyżami Kawalerskimi Orderu Odrodzenia Polski. Ich córki — Janina z Bielska Podlaskiego i Ewa prowadząca teatr w Spółdzielczym Domu Kultury w Białymstoku, to przykłady potwierdzające, iż w kulturze, teatralnej także, liczą się postacie, a nie sztapowe szkolenia. Jest tylko problem jak je wychować. O tym jednak winien podyskutować kolejny Zjazd TKT, który ma przy okazji szansę dowiedzieć się nieco o rozwoju i ruchul teatralnym w województwie białostockim. Zakładam bowiem, iż owa wiedza nie jest tak pełna jak należałoby się spodziewać.

Maciej Skarga



Piotr Sawicki — założyciel Białostockiego Teatru Lalek



Witold Różycki — wieloletni dyrektor Teatru Dramatycznego
im. Węgierki



Leszek Koralewski — inicjator konkursu „Bliżej Teatru”



Edwarda i Waclaw Kislowie — zasłużeni działacze z Moniek



Ryszard Melke, Wiesław Pietuch — dzięki nim lalki weszły do klubów „Ruch”



ZA KULISAMI SCENY AMATORSKIEJ

I Targi Wymiany Przygranicznej w Białymstoku przeszły do historii. Koncentrowały się one na wymianie handlowej i ta właśnie dziedzina zdominowała imprezę. Niejako w cieniu kontraktów i podpisywanych umów swoimi prawami rządziło się zaplecze artystyczne. Było ono na tyle bogate i różnorodne, że warto zajrzeć za kulisy i spróbować je przedstawić.

Dwa tysiące wykonawców skupionych w 90 zespołach artystycznych zaprezentowało swój repertuar na dwóch scenach plenerowych. Na tej większej, usytuowanej w amfiteatrze miejskim, podziwialiśmy znany w Białymstoku zespół pieśni i tańca „Niemen” z Grodna oraz goszczącą po raz pierwszy na Białostoczczyźnie „Wilię”.

Pierwszy zaimponował kunsztem artystycznym i ambicją, bowiem koncert odbył się w strugach padającego deszczu; drugi polskim repertuarem i znakomitym jego wykonaniem. Za to „Wilię” przyświeciło słońce i entuzjazm wielotysięcznej widowni. Bardzo obiecujące opinie zebrała grupa białoruskiej muzyki ludowej „Lawony”. Natomiast litewski zespół folklorystyczny z Rokiska prezentujący repertuar in crudo nie dla wszystkich był czytelny w odbiorze. W sumie nasi goście z Białorusi i Litwy 15-krotnie wystąpili na Białostoczczyźnie dla ponad 10-ciotysięcznej widowni. Żegnani kwiatami i słowami „do zobaczenia” obiecali wkrótce nas odwiedzić.

Skoro jesteśmy przy folklorze spójrzmy na własny stan posiadania zaprezentowany podczas Białostockiej Panoramy Folkloru.



Przez estradę usytuowaną na Terenach Wystawowych przy ul. Kawalerskiej w czasie trwania I Targów Wymiany Przygranicznej przewinęło się 668 wykonawców. Dominowały zespoły śpiewacze, które jak niejednokrotnie podkreślałem na łamach „Gazety Współczesnej” są społeczną potęgą kultury środowiska wiejskiego. Kobiety skupione w Kołach Gospodyń Wiejskich imponują spontanicznością, chęcią działania, kolorytem strojów ludowych i pogodą ducha.



Kazimierz Derkowski — dyrektor od kultury terenowej

Gdyby w innych dziedzinach amatorskiego ruchu artystycznego zaistniały podobne siły wolicjonalne, nikt nie miałby prawa mówić o regresie działalności społecznej. Niestety tak nie jest, o czym później.

Z instrumentami ludowymi kojarzy nam się brzydsza połowa rodu ludzkiego. Tutaj nie jest dobrze. Kapele, grupy i soliści ludowi pokazywali się na estradzie rzadko. To prawda, że chętniej grają na weselach i zabawach ludowych, bo tam płacą. Szkoda, bo harmonia pedałowa i 3-rzędowa mają piękne brzmienie i urzekają swoją melodyjnością. Tym niemniej odnotować trzeba renesans kapeli z Płonki Kościelnej. W grupie zespołów folklorystycznych, obok znanych „Narwian”, „Mianki”, i „Podlaskich Kukulek”, objawił się uroczy zespół „Skowronki” z Brańska. Nabiera odwagi scenicznej w swoim wyrazie artystycznym zespół „Czarnowiacy” z Czarnej Wsi Kościelnej.

Najlepsi z „Białostockiej Panoramy Folkloru” spotkali się w dniach 20 i 21 czerwca na dorocznym święcie folkloru w Siemiatyczach.

Stamtąd właśnie wywodzi się „Małe Podlasie” — dziecięcy zespół folklorystyczny ze Szkoły Podstawowej Nr 2. Był on gorąco oklaskiwany w czasie „Panoramy twórczości dzieci i młodzieży”, która poprzedzała otwarcie Targów i obchody Dnia Dziecka. Koncert pn. „Barwy Przyjaźni” inaugurujący Targi niestety odbył się bez widowni. Padający deszcz uniemożliwił zespołom dziecięcym zaprezentowanie swojej twórczości artystycznej gościom Targów. Przeniesiony do Klubu Garnizonowego stał się swoistym spotkaniem „Sami dla siebie”. Niesprzyjająca aura krzyżowała wszelkie plany organizatorów. Folklorystyczny zespół macedoński ze Skopie zmuszony był tańczyć na betonie w pawilonie gastronomicznym obok innych zespołów z Bielska Podlaskiego. Generalnie trzeba stwierdzić, że widownia zawiodła występujące na estradzie zespoły. Przez 10 dni bardzo niewielu ze zwiedzających wystawy i pawilony targowe zajmowało miejsce w amfiteatrze. Stąd też wynika pierwszy zasadniczy wniosek z Targów. Były one za długie w czasie, przynajmniej w warstwie programu artystycznego, a za mało atrakcyjne w sensie otwartego handlu. Praktycznie po okresie podpisania umów i kontraktów handlowych Targi się skończyły. Trwały dalej tylko dla nielicznych.

Wróćmy jednak do tytułowych kulis. Dobrze, w swoim dniu, zaprezentował się Spółdzielczy Dom Kultury, bardzo skromnie Miejski Dom Kultury, a w ogóle Młodzieżowy Dom Kultury. Ten ostatni należy usprawiedliwić wybitnie niesprzyjającą aurą.

Miała możliwość prezentacji spółdzielczość mieszkaniowa — niestety na Targach niezbyt widoczna, ale za to natychmiast po ich zakończeniu — bardzo obszerna, w czasie III Wojewódzkiego Przeglądu Zespołów Artystycznych Spółdzielczości. Przyglądając się z bliska całodziennemu maratonowi z udziałem 28 zespołów mogę się odnieść do wartości tej imprezy.

Królowały na niej dzieci płci żeńskiej. Znowu dominacja kobiet. Co to będzie za lat kilka? Czy nie uświadczysz na scenie w ogóle rodu męskiego? Ale do rzeczy. Wśród różnorodnych form artystycznych najczęściej pojawiały się grupy dziecięce tańczące disco, taniec nowoczesny, towarzyski, aerobic, break danse, a nawet taniec XXI wieku, w wykonaniu grupy „Break Danse” z klubu „Zenit”.

To pięknie, że tak powszechnie rozwija się forma taneczna. Jedno mam tylko zastrzeżenie (było więcej merytorycznych) do instruktorów prowadzących i wychowujących dzieci, a brzmi ono następująco: nie należy na siłę forsować delikatnych organizmów dziecięcych w maratońskich tańcach disco, ze stowarzyszeniem zwiększonych decybeli. Umiarkowanie dozwolą zarówno ruch i muzykę Julita Opalińska z zespołem „Zefir” i Ewa Jerzykowska z klubu „Zenit”, których grupy taneczne zyskały uznanie w oczach oceniających.

W tańcu towarzyskim zaznaczyła swoją artystyczną obecność grupa ze szkoły CZSP i Krzysztof Bielawiec z najmłodszą parą, dobrze się zapowiadającą.

Kolejną, dość rozpowszechnioną formą są zespoły wokalnie-taneczne. W czasie wspomnianego przeglądu wyróżniały się: „Uśmiech” ze Spółdzielczego Domu Kultury, prowadzony przez małżeństwo Oźlańskich; „Pentliczek” z klubu „Miraż” pod opiekuńczą ręką muzyczną Kazimierza Królikowskiego oraz „Płomyki” z Bielska Podlaskiego z instruktorką Stanisławą Korzeniewską.

Wśród zespołów wokalnych dojrzałością wykonawczą zaimponowała znana grupa „Negro Spirituals” z klubu „Stok”, kierowana przez Helenę Mieszkuniec-Chołodowską. Natomiast drugi jej zespół „Słońce w kapeluszu” zgubiła choroba muzyczna XX w. pod nazwą „playback”. Dobrze śpiewające dziewczęta narażone zostały na zwolniony i zniekształcony akompaniament z taśmy. Szkoda, bo przecież Pani Helena była obok i fortepian też.

Wspomnieć trzeba także o autentycznie śpiewającej dla przyjemności i to ze smakiem grupie „Incognito” z Moniek oraz „Sekstecie” ze Spółdzielczego Domu Kultury. Honoru PSS „Społem” bronił jedyny reprezentant z folklorystycznej „stajni” Mikołaja Turkowicza, a był nim zespół „Pospołu” z Bielska Podlaskiego. Wprawdzie nieco trącący „Podlaskimi Kukulkami”, ale niezły. Przecież szyldy można zmieniać, co się p. Mikołajowi czasami zdarza.

Hej! Gdzie te czasy, kiedy „Społem” mogło robić własne przeglądy, a teraz nawet na swój jubileusz trzeba było poszukiwać wsparcia wśród zespołów artystycznych szkół CZSP i to nie tylko białostockich, ale także z kraju. W przeciwnym wypadku na imprezie pn. „Na scenie, w modzie i handlu” w białostockim amfiteatrze pozostałyby tylko symbole 90-lecia.

Do zespołów z pogranicza rocka, mocnego uderzenia i innych metalowych zgrzytów nie będę się odnosił, chociaż bez takich spółdzielczość się nie obywa. Zrobił to kompetentnie po Białostockiej Wiosnie Muzycznej red. Jacek Grun. Dodam tylko od siebie, że większość z nich powinna swoją karierę muzyczną zaczynać nie na scenie wojewódzkiej, ale powiedzmy podwórkowej. Po prostu mniejszy zasięg, a i fani jakoś bardziej swojscy.

Z innymi formami artystycznymi Spółdzielczość zeszła do piwnic, gdzie pewnie schował się znakomity „Klaps” jako że na scenie „Forum” moje oczy go nie dostrzegły.

Przedstawiony obraz targowego zaplecza artystycznego, jak również poprzedzająca go „Panorama Twórczości Dzieci i Młodzieży” i szeroko skomentowany przegląd amatorskiej twórczości spółdzielców daje nam, animatorom kultury, znakomitą diagnozę tego, co mamy w ARA w województwie. Cieszy ogrom siły społecznej. Martwi jakość jej wykorzystania i właściwego ukierunkowania.

Co z takim potencjałem robić? Jak i kim doradzać? Co ulepszyć w mechanizmach organizacyjnych różnego rodzaju przeglądów, jarmarków, targów, festynów, majówek, czerwcówek itp.?

Co zrobić, żeby uniknąć znanego stwierdzenia — sztuka dla sztuki. Jak pozyskać widza? Te pytania stawiam jako problem otwarty wszystkim tym, którzy sztuką w szyldzie, amatorską zwaną zajmują się i sobie też.

Kazimierz Maksymilian Derkowski



Dorota Milewska — menager Ośrodka Upowszechniania Teatru OW TKT



Jan Bajguz — 1/2 księgowego OW TKT

FRASZKI



Śmiertelne czasy

Śmierć duchowa fizycznej się kłania
I jak tu narodowi wieścić misterium zmartwych-
wstania?

Trudna wielokrotność

Nie to, gdy jeden dżierzymorda
Ale co począć, gdy dżierzymord orda?

Sposób perswadowania

Świętym słowem czasem
Innym razem — obcasem

Poczucie krzywdy

Krzywdzę władzę
Gdy jej kadzę

Szczęśliwiec z granitu

Dobrze ale bezosobowego obelisku,
Nie musi, jak ci na cokole, dostawać po pysku

Nie-ulańskie odium pokory

Dziwnie dziś czołobitny
Potomek ułanów spod Krechowiec, Rokitny

Komplement dla aktora X

Kubek w kubek
Holoubek

Zbigniew Waydyk



Dyskusja



Marek Kotkowski — bez podpisu

Dziennik



WOWARZYSTWO
KULTURY
CENTRALNE
1907-1987

17/16-

AXOM? EŁŻEW

